

STRESZCZENIE SZCZEGÓŁOWE

„Przedwiośnie” - streszczenie szczegółowe (dokładne)

Stefan Żeromski

maturapolski.pl — darmowe opracowania lektur

Rodowód

Narrator z ironicznym dystansem zapowiada, że nie będzie tu herbów ani szeregu sarmackich przodków — „ojciec i matka, otóż i cały rodowód”, jak u „ludzi bez wczoraj”. Ojciec to Seweryn Baryka (na gruncie rosyjskim „Siewierian Grigoriewicz Baryka”), imię prześlizgujące się niepostrzeżenie; matka — Jadwiga z Dąbrowskich, rodem z Siedlec, przez całe życie w Rosji nieumiejąca dobrze mówić po rosyjsku i duchem wciąż tkwiąca w Siedlcach. Wszystko, co ważne i wzruszające, dzieje się dla niej tylko tam; nawet w pięknej, naftowej oazie Baku wspomina staw na Sekule, łąki w Rakowcu, szosę ku Mordom. Dwie anegdoty oddają jej rosyjskie potknięcia językowe: skarga na „płochе bruki” (kiepskie bruki) zrozumiana przez woźnicę jako zaczepka o jego spodnie („briuki”), oraz komplement dla córki gubernatora — „kakaja u was krasnaja róża!” — gdzie polskie „róża” zabrzmiało jak rosyjskie „róża” (pysk), wywołując skandal i szkodząc karierze męża.

Seweryn Baryka, bez wykształcenia i zawodu, był z gruntu uczciwym, lecz mieszczańsko ograniczonym poszukiwaczem dobrze płatnej posady; przedwojenna Rosja była dlań „wymarzoną areną dorobku”. Doszedł do wysokiego stanowiska w przemyśle naftowym w Baku, zgromadził kilkaset tysięcy rubli, urządził się w bogatym apartamencie z perskimi dywanami i drogimi obrazami. Syn — Cezary Grzegorz, pieszczotliwie Czarus — chowany w dostatku, z najdroższymi nauczycielami czterech języków. Centralnym przedmiotem-symbolem części jest **rodzinna legenda o Sołowijówce**: dziad Kalikst Grzegorz Baryka, dziedzic Sołowijówki, przystąpił do powstania 1831 roku i całym majątkiem je poparł — po klęsce wyprawy Dwernickiego majątek skonfiskowano i spalono, a dziad spadł z pana do biedaka. Sucha notatka o tym w bezimiennnej broszurze emigracyjnej (strona trzydziesta siódma) stała się „mitem rodzinnym”, a ojciec Seweryna wypisał nad nią rozkaz: „Pilnować jak oka w głowie!”. Seweryn istotnie nosił ten tomik przez całą Rosję — od dna nędznego kuferka po oszkloną szafę z brązami. Książeczka była w jego życiu „czymś dalekim, sennym, nęcącym”, jak religia tolerowana, choć niepraktykowana, i karmiła skrytą pychę, że „nie wypadło się sroce spod ogona”. Mimo marzeń żony o powrocie do kraju, dobrobyt i przywiązanie do carsko-rosyjskiego porządku (na którym „siedziało się jak mucha na uprzęży obcego rumaka”) trzymały rodzinę na miejscu. Czarus, mimo polskich służących i domowej dbałości o język, lepiej mówił po rosyjsku niż po polsku — „życie samo, przepojone duchem rosyjskim, robiło swoje”.

Część pierwsza — Szklane domy

Gdy Czarus, czternastoletni, dostał promocję do piątej klasy, wybuchła wojna i Seweryna jako oficera zapasowego powołano do wojska — „idylla rodzinna została zdruzgotana” w kilka dni. Odprowadzając ojca na statek do Astrachania, chłopiec nie czuł żalu, tylko ciekawość; dopiero gdy odepchnięto kładkę, dopadł go nagły, dotąd nieznany napad przerażenia i rozplakał się jak dziecko — uspokojony machnięciem ojcowskiej ręki. Wszyscy wierzyli, że wojna potrwa parę tygodni. Nieobecność ojca, który nigdy nie karał, lecz panował nad synem „władzą żelazną” przez uśmiech i prośby, oznaczała dla Cezarego upajającą swobodę: „Rób, co chcesz!”. Chłopiec rzucił się w łobuzerię — wagary, bójki, nocne włóczęgi po ruinach meczetów i gwebryjskich świątyń, podglądanie żon muzułmanina przez wywierconą dziurę, bicie szyb Tatarom i Ormianom, kocie muzyki belfrom, budowanie skrytek na zakazane książki, przechowywanie starego rewolweru bez naboju i gruzińskiego kindżału. Włóczęga stała się nałogiem i pasją.

Matka, dotąd „cichy cień osoby”, musiała teraz sama stać się „figurą czynną” — i przeżywała to jako „torturę czynu narzuconą niedołężnej bierności”. Nie umiała utrzymać syna w karbach; on z czasem stał się wobec niej impertynencki, drwiący, aż przestał się z nią liczyć. Najczulsze są nocne sceny: bezsenna matka wpatruje się w śpiącą, piękną głowę syna („Jaki to wilk!”), rozważa tajemnicę macierzyństwa — że ten, który był „częstką jej ciała”, obraca się teraz przeciw niej i „bije w miłość”. W północy zawsze ucieka „do domu”, do Siedlec, a z Siedlcami wraca jedno imię o czarodziejskiej mocy: **Szymon Gajowiec**. To biedny kancelista z „Pałaty”, pochodzący z podlaskich chłopów czy drobnej szlachty, który kochał ją niegdyś „posępną miłością”, lecz nigdy nie wyznał uczucia — domilczał się, aż przyjechał Seweryn i wydano ją za mąż. Gajowiec był jej „nauczycielem, przewodnikiem, cichym mistrzem”, wtajemniczał ją w sprawy unii podlaskiej, męczeństwa unitów, w smutną tajemnicę tej krainy (wspomnienie zabitej gwoździem unickiej kapliczki pod Drohiczynem, jego oczu wzniesionych na stary obraz). Pamięta jego rozpaczliwy, zalany łzami list na sześciu stronicach. Na samo wspomnienie jego imienia „wiosna ojczysta pachniała w jej duszy”.

Listy od męża z frontu (Prusy Wschodnie nad Mazurami, potem Karpaty, parcie na Węgry) były suche, jednostajne, zaczynały się od pytań o Cezarego i kończyły pozdrowieniami dla niego — ani słowa o powrocie. Matka kłamliwie chwaliła syna; ojciec dziękował mu listownie za „chwalebne prowadzenie się”, co na chwilę budziło w recydywiście skrucę — póki któryś kolega nie gwizdnął pod oknem. Raz tylko coś go naprawdę poruszyło: śpiewając solo w katolickiej kaplicy pieśń „O Panie, co losy ludzkości...”, zaniósł się głuchą tęsknotą za ojcem, a jego śpiew, wsparty drżącym akompaniamentem zapitego, ledwo pamiętającego polski organisty, zabrzmiał jak modlitwa anioła. Nastrój minął równie szybko, jak przyszedł — za murami kaplicy Czarus znów był we władzy „wspólnego szału”.

Byt rodziny był zabezpieczony: oprócz pensji oficerskiej Seweryn przed wyjściem na front zakopał w piwnicy (w obecności żony i syna) złoto, biżuterię i srebra warte kilkaset tysięcy, zostawiając resztę w banku na bieżące wydatki. Cezary, „dbając, by rachunek bieżący nie spleśniał”, próbował wszystkiego — muzyki, konnej jazdy, motocykla, łodzi, aeroplanu — a matka musiała na wszystko przystawać. Dwa organizmy zrosły się w „jedno duchowe ciało”, w którym to syn stopniowo zajął miejsce ojca jako źródło decyzji i rozkazów. Mieszkanie trwało nietknięte, jak za dnia odjazdu Seweryna — „obraz potężnego państwa”, w którego obrębie się przytuliło. W trzecim roku wojny wieści o ojcu ustały; urzędy wojskowe odpowiadały mętnie — major Baryka „zaginął”, „prawdopodobnie” dostał się do niewoli, wreszcie „przepadł w otchłaniach wojny”. Rozpacz matki przekroczyła wszelkie granice.

Lecz prawdziwe „państwo rozpaczy” dopiero nadciągało — niczym tabuny tatarskie z przestworów Rosji i z czasu. Pewnego dnia Baku obiegała wieść: **rewolucja!**. Nikt nie umiał wyjaśnić, co to słowo znaczy w praktyce — jedynie Cezary zdawał się to wiedzieć, „bo on to ją właśnie z miejsca wszczynał”. Przestał chodzić do ósmej klasy, przebrał się po cywilnemu, a zagadnięty przez dyrektora gimnazjum — czemu paradytuje w czapce na bakier ze szpicrutą (trostoczką) — wymierzył mu nią dwa ciosy: w prawe i lewe ucho. Tłum stanął po stronie napastnika. Wydalenie ze wszystkich szkół państwa i „wilczy bilet” nic już dla Cezarego nie znaczyły — „inne mu już wiatry świsnęły koło uszu”. Pobitemu dyrektorowi tajemnicze siły tłukły co noc szyby, mazały dziegiem drzwi, wrzucały zdechłe szczury; ospała, tchórzliwa policja nie umiała wykryć sprawców. Miasto pograżyło się w zastoju: Tatarzy i Ormianie czaili się na siebie z kindzałami, banki nie wydawały kapitałów, znikły towary i żywność, rugowano z mieszkań, zapanowała ulica. Polak z pochodzenia, komisarz rewolucyjny, zaprowadził nowe porządki.

Cezary stał się gorliwym bywalcem mityngów — klaskał, gdy wieszano in effigie cesarzy, generałów i lalkę w stroju Józefa Piłsudskiego (o którym nic jeszcze nie wiedział). Wszystko, co krzyczeli mówcy, „trafiało mu do przekonania, było jakby wyjęte z jego wnętrza”; wracał do domu z furią odkrywcy i tłumaczył matce „arkana”. Matka, ponura, próbowała oponować zdroworozsądkowo: prawdziwy komunizm polegałby na tym, by wziąć pusty step czy góry i tam wspólnymi siłami od początku, „z Boga i ze siebie”, orać, siać i budować — a nie wdzierać się do cudzych domów, pałaców i kościołów, których po równo podzielić się nie da; to „pospolita grabież”. „Niewielka sztuka z pałacu zrobić muzeum” — sztuką byłoby samemu wytworzyć przedmioty muzealne. Te „banialuki spod ciemnej, siedleckiej gwiazdy” tak drażniły syna, że ledwie powstrzymywał się od uderzenia matki; gdy się unosił, ona milkła, a nawet udawała rewolucyjny entuzjazm.

Cezary chodził nie tylko na wiece — gnał także z tłumem pod więzienia, by patrzeć na samowolne egzekucje białogwardzistów i generałów; wracał stamtąd rozgorączkowany, z „diabelskim półuśmiechem”, a matka cofała się przed nim i mamrotała modlitwy. Ona zaś,

wiedziona chłopskim, „prostackim” instynktem, jeszcze przed komisarskim dekretem nakazującym wydanie zakopanych skarbów potajemnie przeniosła większą i cenniejszą część złota do kryjówki w murach za miastem. Cezary tymczasem „dla idei” sam doniósł władzy o rodzinnym skarbie w piwnicy — „dość życia na koszt ludu!” — i z dumą patrzył, jak wynoszono oszczędności ojca. Lecz gdy przyszedł głodny na obiad, gniewał się, że jest go mało; jedzono już tylko ryby i kawior trzy razy dziennie (dowóz ustał), co szkodziło wszystkim na zdrowiu. Matka, nie jadając i nie śpiając, wymykała się tymczasem na daleką prowincję — do zagród tatarskich, gruzińskich, niemieckich folwarczaków — i za złote imperiały oraz srebro wypraszała garnce ziarna, które dźwigała wiorstami i przemyciała pod spódnicą przed patrolami, potem nocą mešla u Tatarów i piekła synowi chleb. Siły jej malały; bała się teraz śmierci — nie o siebie, lecz o to, co stanie się z synem, który stanie się „katem, zbójem, mordercą”.

Mieszkanie zarekwirowano; matka z synem gnieździli się w niszy dawnej pokojówki. Przy zabieraniu gabinetu Cezary przypomniał sobie o broszurze „pilnować jak oka w głowie”, lecz jej nie znalazł — uznał, że ojciec zabrał ją ze sobą. Prywacie otrzeźwiły chłopca: nagle „ujrzał matkę” — czterdziestoletnią, a wyglądającą na sześćdziesiąt, siwą, zgarbioną, podpierającą się kijem, obsługującą go jak kucharka. Ze wstydem zaczął jej chyłkiem pomagać (nosić wodę, prać, rąbać drwa), tłumacząc to po komunistycznemu („kto nie pracuje, niech nie je”). Wyśledził jej wyprawy po zboże i rozplakał się ze skruchy; nocami okrywał ją i utulał. Dostrzegł też, że matka, rzekomo „nic nierozumiejąca”, przewiduje skutki wydarzeń „z matematyczną dokładnością” — wbrew głoszonym hasłom widzi rzeczy odwrotne, a życie jej przyznaje rację. Oboje chodzili do portu, gdy przybijał statek z Astrachania — czekali, nie przyznając się przed sobą, na ojca. Matka rzucała się oczyma na każdą twarz: „Nie ma! Nie ma!”. Cezary, który już wiedział z urzędu, że ojciec zginął, nie śmiał jej tego wyjawić; z nienawiścią drwił z wysiadających uciekinierów-burżujów, „kału Rosji”, uchodzącego z ojczyzny w panice.

Pewnego dnia matka, litościwa z natury, zlitowała się nad rodziną wynędzniałych emigrantek — okazały się to księżna i księżniczki Szczerbatow-Mamajew, uciekające z kraju po konfiskacie ogromnych majątków. Przenocowała je; w nocy księżna zwierzyła się, że na łydkach ukrywa bezcenne bransolety, które wgryzły się w ciało. Zdjęto je i położono na piecu — i właśnie tej nocy wpadła rewizja. Precjoza zabrano, a karę za ukrywanie złota ponieśli Barykowie (uratowała ich tylko dobra opinia „towarzysza Baryki”); emigrantki trafiły z powrotem do więzienia. Odtąd matkę ściśle tropiono. Przyłapana przy skarbie, bita „po mordzie”, wskazała kryjówkę, lecz to jej nie uratowało — skierowano ją do robót w porcie, które były „kuracją z tego świata na tamten”. Pchnięta przez dozorcę, padła i skończyła życie. Cezary wyżebrał osobny pochówek na katolickim cmentarzu; ksiądz Gruzin odprawił łacińskie modły. Przed zamknięciem trumny syn zobaczył, że złotą ślubną obrączkę zdarto matce z palca wraz ze skórą — została szerniała, zapiekła rana. „Teraz dopiero czuciem dotarł do wiadomości, dla kogo to w dzieciństwie przechowywał kindżał w skalnej pieczarze”.

Cezary został sam — bez matki, ojca i majątku. O ojcu władze udzieliły ostatniej, fatalnej wiadomości: major Baryka przeszedł na stronę wrogów, przystał do polskich legionów, zdradził sztandar, lecz i tam „pogib” — przepadł bez wieści. Pochwycony przez „arkan samotności”, chodził nad grób matki i tam, na jałowej górze, prowadził z jej duchem długie rozmowy. Pojednał się z nią, przebaczył jej „błędy”, lecz tłumaczył jej ducha do swojego — wykladał, że **rewolucja jest koniecznością i prawem moralnym**: przez tysiąclecia uprzywilejowani deptali nieszczęśliwych, każda cegła pałaców „ociekłaby krwią”, a nasze pieniądze i sprzęty „przesycone są krzywdą człowieczą”. Nie chce już pić wina „zmieszanego z potem męczenników” ani stąpać po dywanach „po charczących piersiach suchotników”; trzeba było „wykonać skok lwi”, by zepchnąć przemoc z tronu. „Twój syn nie może stać w szeregu ciemniźniczy. Nie będę! Nie będę!”. Z gałęzi w wiosennym wietrze odpowiadał mu cichy szept matki: „Tak, tak, mój synku! Skoro ty mówisz, że tak, to tak...”.

Wkrótce życie Baku obróciło się jeszcze straszniej. W marcu 1918 Ormianie pod wodzą Szaumianca, wsparci artylerią angielską, opanowali miasto i od marca do września palili meczety z tatarskimi kobietami i dziećmi. Tatarzy wezwali na pomoc kalifa; armia turecka Nuri-Paszy ruszyła na pogórze, ścieląc pod armaty „pomosty z trupów”. Baku znalazło się pod ogniem; pędzono do okopów wszystkich noszących spodnie. Cezary, wypędzony z mieszkania, gnieździł się w dawnej rodzinnej piwnicy, głodny, obdarty, obojętny na śmierć, którą zaczął uważać niemal za pożądaną. Jedyłą „realnością” pozostał płonący gaz naftowy — to on, jak ongi za Prometeusza, zegnał tu zwaśnione narody. Wcielony do „armii ormiańskiej”, strzelał z muzealnego karabinu aż do września 1918, gdy obrońcy rozeszli się „do domu”. Cezary, nie mając domu, wrócił do piwnicy. Turcy wkroczyli, wykłuli ośmiuset poddających się Anglików, a Tatarzy w cztery dni wymordowali siedemdziesiąt kilka tysięcy Ormian i Rosjan. Cezarego ocaliła przypadkowa legitymacja obywatela „Lechistanu” — Polski „in spe, mitu, śmiesznej idei”. Zapędzono go do zakopywania zwłok, których krew „lała się rzeką wieloramienną” do morza.

Pchając arbę z trupami, Cezary ujrzał na kole wozu zwłoki cudownie pięknej młodej Ormianki z otwartymi ustami zastygłymi w niemym krzyku; jej palce, popychane przez szprychy, „przebierały jak na strunach”. W wyobraźni usłyszał jej skargę i oskarżenie: rosła „jak kwiat róży”, a podli mężczyźni ją zamordowali — „Nie zapomnij krzywdy mojej, woźnico młody! Przypatrz się dobrze zbrodni ludzkiej! Strzeż się! Pamiętaj!”. Scena ta — emblemat bezsensu rzezi — głęboko go poraziła. Przy masowym grobie, sypiąc ziemię na zwłoki, Cezary wychudł, szcerstwiał, popadł w cynizm i gnuśność; pogardliwie przezywano go „Barynczyszka”. Wśród żebraków kręcących się przy wojsku dostrzegł brodatego, kudłatego *jurodiwego*, który stale śpiewał pod nosem dwie sylaby — wreszcie rozpoznał w nich swoje imię: „Czaruś — Czaruś — Czaruś”. Gdy dziad podniósł głowę, Cezary ujrzał „wyblakłe, niebieskie oczy” — to był jego **ojciec, Seweryn**, ukrywający się w lachmanach z obawy przed zemstą Tatarów. Spotkali się potajemnie za parkanem kloaki, w fetorze trupów — „drżało w nich jedno serce”. Ojciec przybył

aż z Rosji, od legionów; matki grób już odwiedził. Umówili się na nocne spotkanie. „Nie zginąłeś! O, cóż za szczęście” — wył Cezary jak pies z radości.

Po odejściu Turków (traktat wersalski, krótkotrwały Azerbejdżan, potem najście bolszewików) ojciec i syn szykowali się do wyjazdu do Polski. Seweryn, zrujnowany fizycznie, z raną w czaszce, opowiadał synowi o cudownej **walizce** zostawionej w Moskwie u przyjaciela Bogumiła Jastruna — pełnej bielizny, krawatów, a nade wszystko lekarstw (aspiryna Bayera!) i, na dnie, broszury o dziadku Kalikście. Snuł też opowieść o swym powrocie z legionów przez całą Rosję, którą pokonała „jedynie bezgraniczna miłość”. Na pytanie syna „co potem?” odpowiadał: „Do Polski”. A na pytanie „po co?” — w dusznym, zatrutym powietrzu wagonu-tiepluszki rozwinął wizję **szklanych domów**.

Opowieść (kluczowa, tytułotwórcza dla pierwszej części) głosi, że w Polsce narodził się genialny człowiek, też nazwiskiem Baryka — lekarz, który porzucił medycynę, skupił nadmorskie diuny i torfowiska, sprowadził z Ameryki maszynę wybierającą torf, a pod nim odkrył czysty piasek. Wykopał kanał w kształcie litery U, wpuszcł weń prąd morski idący z zachodu, postawił turbiny i hutę szkła. Z roztopionego piasku „ulewa” belki, tafle i kliny, z których w trzy-cztery dni składa się tani, kolorowy, parterowy dom: bez pieców, ogrzewany i chłodzony wodą w ścianach, z wentylatorami, absolutnie czysty i zdrowy. Domy te (białe w lasach, różowe w równinach, zielone w pagórach), projektowane przez wielkich artystów, rozeszły się „jak morowa zaraza” po wsiach; fabryka jest kooperatywą pracowników. Baryka ujmuje też Wisłę w szklane łożysko, panuje nad jej zamarzaniem, daje krajowi elektryczność do pługów i młocki; zwierzętom zwraca godność (nowa cywilizacja niemal wegetariańska). Powstają szklane szkoły-termi, kościoły, domy robotnicze „lepsze od pałaców”. Najważniejszy wniosek: prawdziwym bogactwem nie jest pieniądz, lecz **zdrowie**, którego strzeże szklany dom. Cezary słuchał z drwiną — nazywał to „marzeniami”, „cywilizacją kruchą”, „świńską” (od kooperatywnych chlewów) — i toczył z ojcem ostry spór ideowy: on chciał najpierw „wydusić łotra siłą, a gdy się nie poddaje — zabić!”, ojciec odpowiadał: „Nie zabijaj, syneczku! (...) Rewolucją istotną jest wynalazek; rewolucją fałszywą — wydzieranie przemocą rzeczy przez innych zrobionych”. Magnatów strąca się do piwnic, a w pałacach siadają nowi panowie-komisarze; „lud po staremu mieszka w norach”.

W Moskwie odzyskali walizkę u Jastruna, przebrali się za „optantów” i wsiedli do eszelonu jadącego do Charkowa. Podróż była torturą — maszynista co chwila wymuszał „remontik” za łapówki (zegarki, buty, surduty). Pieszko dotarłszy do Charkowa, oddali walizkę do przechowalni za pokwitowaniem z wielką czerwoną pieczęcią — a flegmatyczny magazynier po prostu ją „zgubił” („Kwit twój widzę, a czemodanczika nie widzę”), grożąc, że za awanturę trafią do czerezwyczajki. Tak przepadła walizka z lekarstwami i broszurą „pilnowaną jak oka w głowie” — Seweryn gorzko żałował tej jednej, „głupiej” nieostrożności. Tygodnie czekania na pociąg były nędzą: chory ojciec leżał w dziurze pod schodami, syn miał się najordynarniejszej pracy.

Cezary chłonał rozmach rewolucji, zachwycił się mówcami (zwłaszcza pochodzenia żydowskiego) i marzył, by zostać „wśród silnych”, lecz ojciec — „przeciwnik czynny”, „rycerz” — przekonywał, że „w Moskwie cuchnie zbrodnią”, że wszystko poczęło się ze zbrodni i skończy na karierach nowej komisarskiej arystokracji. Cezary „był tu i tam, w Rosji i w Polsce, z ojcem i przeciw niemu”, szarpiąc się w więzach synowskiej miłości; nieraz żałował, że ojciec go odnalazł i wyrwał z Baku.

Gdy nadszedł przeładowany eszelon, inżynier Białynia (dawny znajomy Seweryna) odmawiał zabrania ich pod groźbą kary śmierci. Wtedy nieznajomy, wysoki, czarny pasażer wziął całą winę na siebie i przemycił obu do wagonu z baraniami kozuchami. Karmił ich w drodze, lecz Seweryn, duszący się w fetorze, gorączkował coraz bardziej; wezwany lekarz tylko schował słuchawkę. Umierając, ojciec błagał: „Ty tu nie zostawaj! Jedź tam! Sam się przekonasz... Ja tak nic nie rozumiałem, jak ty teraz” — i polecił, by w Warszawie odszukał **Szymona Gajowca**, przyjaciela matki i jego. Potem skonał. Cezary długo trwał nad nieruchomą głową, nie mogąc płakać. Czarny przyjaciel okazał się księdzem — odprawił nad zwłokami „Dies irae” i kazał pochować Seweryna przy kościele w mijanym miasteczku („Lepiej mu będzie tam niż w rowie”). Rozdarty, Cezary musiał jechać dalej. Im bliżej granicy, tym rewizje były sroższe — Cezary po raz pierwszy „duszą czującą” zobaczył tyranię nad zwykłymi repatriantami. Wreszcie otwarto wagony; ludzie z płaczem i modlitwą rzucili się ku polskim sztachetom, całując słupy. Białynia wcisnął Cezaremu czyjaś legitymację (bo wszystkie dokumenty zginęły w walizce); oficer przybił pieczęć — Cezary wszedł do Polski. Za miasteczkiem ujrzał jednak grząskie, brudne, polsko-żydowskie *oppidum*, nędzne budy kryte podziurawioną papą, a wiosna na próżno usiłowała osłonić to „wstrętne widowisko”. „Gdzież są twoje szklane domy? — rozmyślał. — Gdzież są twoje szklane domy?...”.

Część druga — Nawłóć

W Warszawie żadnych szklanych domów nie było — Cezary zrozumiał, że ojciec „boleśnie zeń przed śmiercią zażartował”. Mimo to (pod wpływem legendy) wstąpił na medycynę, krajał trupy, zawierał znajomości. Materialnie pomógł mu **Szymon Gajowiec**, wysoki urzędnik nowego Ministerium Skarbu — dał posadę w biurze i lekcje rosyjskiego w sferach oficerskich. Gajowiec wciąż wypytywał o matkę Cezarego, słuchał ze łzami; wreszcie wyznał spokojnie, że całe życie kochał ją jedną — pannę Jadwigę z Siedlec — lecz jako biedny kancelista nie mógł równać się z bogatym Seweryną. Odtąd „obaj kochali się na nowo w widmie panny Jadwigi”. Znajomość nie trwała długo: wybuchła wojna z bolszewikami. Cezary wstąpił do wojska — nie z przekonania (wojna „pomniejszała obszary władzy chłopów i robotników”), lecz „w obawie niesławy”, pchnięty snobizmem wojennym. Przeważały dwa bodźce: scena w kawiarni, gdzie dwaj zamożni panowie (z plutokracji, która została) spierali się beztrudno, jak ułożą się z wkraczającymi bolszewikami („osiół obładowany złotem wejdzie do każdej fortecy” —

„zobaczmy...”), oraz powszechny entuzjazm Polaków, jakiego dotąd nie widział: chłopcy wyrwali się spod ręki matek i ginęli bohatercko. Cezary chciał „własnymi oczyma zobaczyć tę sprawę” i sprawdzić, ile jest warta.

Po przeszkoleniu, na szosie radzywińskiej, ujrzał najpierw niezmierną kolumnę wziętych do niewoli bolszewików — i scenę groteskowo-symboliczną: gruba przedmiejska szynkarka wymyślała jeńcom („Przyszedłeś Warszawę zdobywać, śmierzduchu moskiewski?”), lecz zaraz litowała się nad ich głodem („Nie mogę patrzeć na te głodne ryje!”). Oddział doszedł do spalonego Radzimina; widzieli starego oficera francuskiego (gen. Weygand) ruszającego motocyklem za uchodzącą armią. Cezary „niemało się nachodził” w tej wojnie — marsze, wypadki, brawurowy manewr generała Sikorskiego — lecz szklanych domów nigdzie nie było, a najazd ze wschodu zostawiał za sobą tylko ruinę, rabunek i gwałt, bez śladu głoszonych idei. Wojna go pochłonęła; przestał myśleć, „o co walczyć”. Koledzy-„Polaki” okazali się duszami bratnimi: każdy miał gdzieś „mamę”, „tatę”, jakąś Zosię — tylko Cezary nie miał nikogo i drwił z sentymentów. Zaprzyjaźnił się szczególnie z **Hipolitem Wielosławskim**, studentem i magnackim synem; pod Łysowem wyniósł go, pożganego bagnietami, z lasu Rogacz — i odtąd związała ich przyjaźń „na śmierć i życie”. Gdy nadszedł rozejm, obaj zwolnili się i Hipolit zaprosił Cezarego na wypoczynek do rodzinnej **Nawłoci** pod Częstochową.

Podróż zakończyła się brawurową jazdą czwórką koni, podczas której Hipolit wywrócił wolant na śliskiej glinie — Cezary „zorał głową trzy zagony”, a woźnica Jędrzek rozbił mu zębami tył czaszki. Mimo to wjechali wieczorem do Nawłoci, witani na ganku przez gwar głosów. Dom okazał się ciepłym, serdecznym światem ziemiańskim: matka Hipolita, pani Wielosławska (płacząca cicho ze szczęścia), jego przyrodni brat — wesoły, puciołowaty **ksiądz Anastazy** („pomidorek”, łasy na starke), siostra cioteczna **Karolina Szarłatowiczówna** (utraciła majątek na Ukrainie, teraz „kury maca w Nawłoci”, cięta i dumna), wuj Skalnicki, ciotki Aniela i Wiktoria, stary lokaj Maciejunio i jąkała kucharz Wojciunio. Przy hucznej kolacji wszyscy obsypywali Cezarego życliwością, dwie ciotki kazały sobie ze łzami opowiadać o jego matce, a parobcy strzelali z batów na wiwat. Hipolit rozdawał fernalom szczerozłoty tokaj nieboszczyka ojca i wytrząsał pugilares dla powitania chłopów po imieniu. Cezary, pijany nie tyle winem, ile szczęściem, po pijanemu ostrzegał jednak Hipolita: „Strzeż się, bracie! Za jedną srebrną cukiernicę ci sami Maciejunio i Wojciunio wywleką cię do ogrodu i głowę ci rozwałą siekierą! Ja wiem!” — przecucie rewolucyjnej grozy zawisłe nad sielanką. Nocą odprowadzono go do gościnnej „Arianki” (dawnego zboru ariańskiego); ksiądz po pijanemu wlaźł w ciemności na świerka, a Cezary, prowadzony pod rękę przez Karolinę i okrywając ją swym płaszczem na deszczu, poczuł pierwsze drżenie wzajemnego zainteresowania.

Nazajutrz Cezary, wstawszy wcześniej, obserwował życie folwarku i „sowieci ptasi”; ukłony parobków psuły mu poranek (budziły wstyd „ideowego komunisty”). Widział, jak perliczka z wrzaskiem „psiakrew!” goniła miastową pensjonarkę (to **Wanda Okszyńska**). Przy kominku

w jadalni zaskoczyła go Karolina, która w samej krótkiej koszuli przysła się ogrzać i tańczyła przed ogniem, czesząc włosy; gdy Cezary chrząknął, uciekła z trzaskiem drzwi. Karolina, dotknięta tym i wcześniejszą poufałością, traktowała go odtąd dumnie i wyniośle (a za plecami wywieszała mu język), boleśnie reagując na śpiewaną przez księdza piosenkę „Caroline, Caroline...”. Hipolit oprowadzał Cezarego po stajni, pieszcząc swoje konie; towarzyszył im stajenny Jędrak, „mieszczący się bez reszty” w panu, nadużywający słów „absolutnie”, „ewentualnie”, „jednakowoż”. Wśród końskich oczu Cezarego przeszło uczucie obcości i samotności — „zakał w nim ojciec i matka” — oraz natrętne pytanie: „Kiedyż nadejdzie dzień, że Jędrak chwyci jaśnie pana za gardło, a Maciejunio wypchnie dziedziczkę za drzwi w pazury motłochu?”.

Hipolit zabrał Cezarego na szaloną jazdę linijką (full pace), podczas której zachlapali błotem spotkaną sąsiadkę — piękną, jeżdżącą po męsku wdowę **Laure Kościeniecką** i jej narzeczonego **Władysława Barwickiego** (bogatego „nuworysza”, „spryciarza”, uchylonego od wojska dla rzekomej astmy). Laura, kpiąca i pewna siebie, zaprosiła obu na śniadanie do swego „pałacu” (raczej willi) w Leńcu. Tam, w bibliotecznym pokoju, Cezary patrzył na oprawne książki i z bólem wspominał ojcowską szafę, dom, rodziców „zabitych jak psy” — całe ich życie jako „krwawe nieporozumienie” — dziwiąc się, że ci ludzie są „tak pewni swego”, gdy on wie, że „pewnego nie ma nic”. Laura, przebrana w wieczorową suknię, zajaśniała inną urodą; zaprosiła Cezarego na planowany bal w Odolanach jako brakującego tancerza.

Tymczasem do Nawłoci dopuszczono do fortepianu szesnastoletnią **Wandę Okszyńską** — siostrzenicę rządczyni Turzyckiej, „oślicę”, która nie umiała tabliczki mnożenia ani „słówek”, lecz miała genialny talent muzyczny i grała „dla samej muzyki” jak pijak pije gorzałkę. Cezary, sam wyćwiczony w grze z matką, zagrał z nią Tańce węgierskie Liszta na cztery ręce; przy muzyce twarz wystraszonej dziewczyny „ożyła i stała się piękna”, a w oczach zapłonął „geniusz muzyczny”. Przy obiedzie Karolina, niby „chora”, obsługiwała stół żywiołowo, wciąż dąsając się na Cezarego (wywieszała mu język zza kredensu, czerwieniła się przy piosence księdza). Po obiedzie ruszyli bryczką na przejażdżkę (Cezary, ksiądz, Karolina; Hipolit konno) — czarne „krety” szarpnęły tak, że Karolina i ksiądz fiknęli do tyłu z nogami w górze, ku ogólnemu śmiechowi (drugie „nieprzyzwoicie śmieszne nieszczęście” panny). Po drodze Cezary, patrząc na uginającego się pod workiem Żyda i dwóch starych, bosych chłopów brnących w błocie, czuł palącą tęsknotę, by zejść z lśniącej bryczki, zdjąć buty i iść z nimi — „Ej, wy, ludzie! Ja idę razem z wami!” — choć w rzeczywistości „wygodnie, rozkosznie jechał”. Dojechali do folwarku Chłodek, gdzie nad pięknym, cichym stawem z młynem Cezary doznał wstrząsającego wrażenia, że to miejsce już zna — przypomniał sobie matczyną „sekułę”, staw, za którym matka „przeplakała życie”: „to jest ojczyzna duszy”.

Nad stawem Cezary i Karolina zbliżyli się do siebie szczerą rozmową. Ona opowiedziała o zagładzie swej rodziny przez bolszewików: matkę wyrzucono z domu (siedziała rok w chłopskiej

chacie, z pudlem Gagą, który zdechł nie zniosłszy nędzy), umarła z wyczerpania w Warszawie, ojciec zmarł po wyjściu z kijowskiego więzienia. Karolina wyznała namiętą żądzę zemsty — żałowała, że jest kobietą i nie może „uderzyć ostrym mieczem”; z satysfakcją czytała wieści, że wojsko polskie „bije na miazgę” bolszewików, i pytała, czemu nie poszli „aż do Moskwy”. Cezary opowiedział jej z kolei o swoich rodzicach, ucieczce z Baku, śmierci ojca — po raz pierwszy „wywnętrzając się” przed kimś tak szczerze. Na jej żądzę odwetu odpowiadał spokojnie, że „nad zrabowanym trzeba postawić krzyżyk”, odpuścić winę: „Tam jest ziemia ruska i lud ruski; mamy tu ziemię polską i lud polski. Mamy wolność”. Powiedział, że chciałby zostać tu „pisarczykiem prowentowym”, poznać prostych ludzi „z ust do ust”, pracować z nimi ramię w ramię — a wieczorami nad stawem „matkę wspominać”. Zawarli „sztamę”. Miejsce zwało się Chłodek. Do objęcia posady jednak nie doszło — Hipolit wyperswadował mu pomysł jako „śmieszny, rosyjski, tołstojowski”: w Polsce, „rasie starej, nieznoszącej rosyjskich próbek i blagi”, nie wolno się ośmieszać, a panicz przebrany za pisarza zabierałby chleb prawdziwemu pracownikowi. Cezary uległ temu „snobizmowi parafialnemu”. Zresztą nie miał wolnej chwili — życie w Nawłoci było nieprzerwanym pasmem śniadań, obiadów, podwieczorków, kolacji, przejażdżek, muzyki i kart, zwieńczonym nocnym „podkurkiem”.

Gdy ksiądz Anastazy z Hipolitem przesypiali ranki po nocnych pijatykach, Karolina budziła ich, waląc trzeciorzędowymi głazami narzutowymi w zaryglowane drzwi „Arianeki”, aż śpiącym zdawało się, że to przygotowanie artyleryjskie. Towarzystwo segregowało (i objadało się) jabłkami na strychu dworu; w tych zabawach Cezary chwycił Karolinę i raz pocałował ją w policzek „świeży jak jabłko”, po czym nastały dąsy i ułaskawienie. Tymczasem zbliżał się wielki **piknik** — zabawa składkowa na protezy dla okaleczonych żołnierzy („kadłubków”), którą Laura Kościeniecka organizowała w pałacu sparaliżowanego pana Storzana w Odolanach, rządząc całą okolicą jak dyktator. Cezary nie miał fraka — Hipolit niemal na klęczkach (powołując się na wspólne rowy i las Rogacz) wymusił przyjęcie nowego fraka w darze; Karolina zaś przyniosła mu wyprasowaną bieliznę i krawat. W podzięcie Cezary wciągnął ją do pokoju i przetańczył z nią shimmy, a gdy lamentowała, że ją „gubi”, zamknął jej usta długim pocałunkiem. Sceny tej, przez dziurkę od klucza, była świadkiem **Wanda Okszyńska**, która od pierwszego wejrzenia pokochała Cezarego „na śmierć” — żyła w błękitnym tumanie, przekładała brzmienie jego głosu na muzykę, całowała klamkę jego drzwi i marzyła, że umrze, a on przyjdzie na jej grób. Widok pocałunku Karoliny i Cezarego cisnął w nią „oszczepem diabła”.

Pewnego deszczowego popołudnia Cezary, uwięziony w Odolanach, wracał z Laurą jej zamkniętą „karetą miłosną”; w ciemności, w pędzie, oszaleli oboje z namiętności i stali się kochankami. Później Laura wezwała go nocą do Leńca: po cichu wprowadziła go na piętro tuż za plecami świekry; gdy zazdrosny Barwicki, odjeżdżając, kazał jej dawać świetlne sygnały lampą na znak czuwania, to Cezary przykręcał i podkręcał knot, drwiąc z narzeczonego, póki latarnie jego wolanta nie znikły w polach.

W dniu balu w Odolanach „trzej uwodziciele” (Hipolit, Cezary i wystrojony, podfryzowany przez Maciejunia ksiądz Anastazy w jedwabnej sukience) zajęli na zabawę. Cezary, onieśmielony w salonie, tańczył z Karoliną, ciotkami i Wandą, a w istocie krążył wokół Laury, która szeptała mu w tańcu gorące wyznania („Czarusiu, Czarnoksiężniczku mój (...) kocham cię na śmierć”), tłumacząc zarazem, że za Barwickiego wychodzi z musu — bo jest bogaty i spłaci dług ciąży na Leńcu. Cezary płonął zazdrością. Wniesiono sparaliżowanego Storzana, który wznosił toast „za bohaterów, co potracili ręce i nogi”. Pani Wielosławska kazała Wandzie zagrać — dziewczyna, przeobrażona przy fortepianie w „boży instrument”, wygrała sonatę Beethovena, wkładając w nią całą miłość i nienawiść do rywalki. Pod osłoną muzyki Laura i Cezary wymknęli się oddzielnie do parku — lecz wysłuchiwała ich Karolina, która, zdruzgotana, błędziła wśród drzew i poczuła przechodzącą tuż obok parę po zapachu perfum Laury. Wróciwszy zmarznięta, na ogólne prośby zatańczyła z Cezarym brawurowego kozaka — taniec dumy, pokusy i ukrytej rozpacz, oglądany zazdrośnie przez Wandę i tryumfalnie przez Laurę.

Barwicki ganił narzeczonej „kacapski taniec”; pijany Hipolit wykrzykiwał „à bas la calotte!” i wspominał, jak Cezary wyniósł go z lasu Rogacz; Cezary upił się z księdzem. Nad ranem wrócili do Nawłoci; mijając nędzną wieś Odolany, Cezary wycedził z goryczą „szklane domy...”, a na zdrowe pochwały księdza o „pocziwym ludku” odpowiedział: „Nie śmieję się, tylko ziewam”.

Po pikniku nastały „dnie jałowe”. Cezary, opętany tajoną namiętnością, wymykał się nocami do Leńca (chłopak nie mógł doczyścić jego zabłoconych butów, a Karolina wahała na ubraniu perfumy Laury). Przy fortepianie Wanda położyła swą zimną dłoń na jego ręce — on okrutnie zbył ją wspomnieniem ucieczki przed perliczką, a ona uciekła z piskiem. Miłość Cezarego i Laury rozkwitała — czuła, opiekuńcza (była o dwa lata starsza), pełna nie rozpusty, lecz „całopalnej ofiary”.

Nadeszła katastrofa. Pewnego dnia ksiądz Anastazy wezwał Cezarego: **Karolina umiera**. Sprowadzony lekarz stwierdził otrucie strychniną. Konając, dziewczyna pożegnała Cezarego; ksiądz związał ich ręce stułą. W śledztwie ustalono, że ostatni napój — wodę z sokiem porzeczkowym i cukrem — podała Karolinie **Wanda Okszyńska**, a w szafie rządcy Turzyckiego znaleziono słoik strychniny. Wandę aresztowano, lecz wobec braku dowodu wypuszczono. Cezary, znieczulony przez okrucieństwa wojny i rewolucji (porównywał śmierć Karoliny do wymordowanej Ormianki), o swoim tajnym uścisku dłoni z Wandą nikomu nie wspominał i pozostał wobec tragedii dziwnie obojętny — zajęty wyłącznie romansem, donosił Laurze „ploteczki” o śledztwie.

Tuż przed Bożym Narodzeniem dzban się rozbił. Cezary, zakradłszy się nocą do Leńca, wpadł w zasadzkę: Barwicki, czatujący w bibliotece, zaciął go szpicrutą w twarz. Wywiązała się dzika walka; Cezary wydarł szpicrutę i bił nią rywala. Wbiegła Laura ze świecą i zasłoniła sobą narzeczonego; rozkazała Cezaremu wyjść, a ten w szale **smagnął szpicrutą Laurę przez twarz** i wyszedł. Tę samą hańbę, którą wcześniej popełniono na Ormiance i na Karolinie,

popęłnił teraz on. Noc spędził w stogu siana, w rozpaczy, świadom, że wszystkie trzy spotkane tu kobiety skrzywdził: dla jednej był „porte-malheur”, drugą natchnął do zbrodni, trzecią pobił. Błagał pod oknem Laury — daremnie. Rankiem na cmentarzu spotkał księdza Anastazego przy grobie Karoliny; ksiądz wzywał go do spowiedzi i skruchy, lecz Cezary („wolny żrebiec”, „nie z parafii”) wyśmiał go.

Cezary przespał dobę. Hipolit, nie znając przyczyny, ofiarował przyjacielowi bezwarunkową pomoc i braterstwo („będę prał, jakbyś ty sam prał!”), lecz Cezary odmówił wyjaśnień, prosząc tylko o pozwolenie zaszycia się na Chłodku, by zagoić twarz i pobyć samemu. Hipolit zgodził się, wyrzucając mu z bólem: „Ty dardanelski ośle! Zmarnowałeś Karusię!” — wyjawiał, że rodzina planowała dać Karolinie Chłodek w posagu, licząc, że Cezary się z nią ożeni i osiedzą jako sąsiedzi.

Na Chłodku, u podejrzliwego ekonoma Gruboszewskiego (który wziął go za szpiega-konkurenta do posady), Cezary „szukał niższego życia”: gadał z młynarzem Sylwestrem i chłopami, zaglądał do chat komorników — bezrolnej nędzy, gdzie staruszków wynoszono umierać do zimnej stodoły, a dzieci dusiła błonica. Widok tej „barbarzyńskiej bezlitości” i pierwotnej ekonomii śmierci budził w nim bunt: „Zbuntujcie się, chłopcy potężne, przeciw swojemu sobaczemu losowi!”. Tu dosięgła go wieść, że Laura jest już panią Barwicką (ślub w Krakowie). Po Wigilii u Gruboszewskich Cezary wrócił do Nawłoci, by wyjechać do Warszawy; żegnano go ze smutkiem „bez żałoby” („dziwnym byłeś gościem”). W sieni dostrzegł jeszcze wychudłą, postarzałą Wandę, wtuloną we wnękę schodów. Po raz ostatni minął Leniec (firanki w oknie — pani nie ma) i nie powstrzymał łez; Hipolit, udając, że ich nie widzi, mocno objął przyjaciela ramieniem.

Część trzecia — Wiatr od wschodu

W Warszawie Cezary wrócił na medycynę i „wmieszkał się” do nędznego, cuchnącego pokoju kolegi Buławnika (skąpca „śmierdzącego pieniędzmi”) przy ulicy Miłej, w żydowskiej dzielnicy. Sprzedał frak — dar Hipolita, wciąż pachnący perfumami Laury (Buławnik odkupił go potem przez krawca, by Cezary mógł czasem wachać tę pamiątkę). Gdy zabrakło pieniędzy, poszedł do Szymona Gajowca, który dał mu płatne zajęcie. W mieszkaniu Gajowca wisiały portrety trzech „warszawiaków” czasów niewoli — **Mariana Bohusza, Stanisława Krzemińskiego i Edwarda Abramowskiego** — nauczycieli pokolenia Gajowca: bezimiennych, ubogich „greckich niewolników”, którzy nasycili sobą naród (dla Krzemińskiego Polska była „Panią, Mocarką wielką, Matką najśłodsza”). Gajowiec tłumaczył, że ich wiara i marzenia kończyły się tam, gdzie zaczyna się jego rola: wdroić je w czyn, w rządzenie realnymi ludźmi w wolnym państwie. Naukę Abramowskiego o bojkocie państwa i wolnych stowarzyszeniach życie zaprzeczyło (przykład „zbrodni skolimowskiej”: narzeczony-bandyta odrąbał siekierą obejmujące go ręce narzeczonej — na łotrostwo nie wystarczy sąd polubowny). Polska to

dopiero „przedwiośnie” — wychodzą na przemarznięte role nieumiejętnymi rękami; „wierzymy, że doczekamy się jasnej wiosny”.

Przemierzając żydowskie getto (Franciszkańska, Nalewki, Miła), Cezary z odrazą, a potem jak problemat, obserwował nędzę, brud, schorowane dzieci, handel ochłapami, sklepiki o kapitale dwudziestu złotych, zbieraczy starego żelaza — i doszedł do wniosku, że to „zbiorowisko ruchliwych i gadatliwych próżniaków” bez przeszłości i przyszłości. Gajowiec po nocach pisał książkę — „list otwarty do rodaków” — o Polsce rzeczywistej: ubogiej, brudnej, przeładowanej ludnością żydowską i wrogami okrainnymi, z niezalutowaną kwestią rolną — w którą chciał tchnąć ducha dawnych proroków. Cezary mu w tej pracy pomagał. Gajowiec, choć realista, był i mistykiem: wskazywał „cuda” — wskreszenie państwa polskiego i „cud nad Wisłą” 1920 (gdy bolszewicka armia, mimo hasła wyzwolenia proletariatu, została przepędzona, nie znalazłszy w Polsce sojuszników). Opowiadał o „wielkich charakterach”: o studencie medycyny, który sam podejmował walkę z caratem, przemycił druki przez graniczną rzekę, organizował pierwszą manifestację 1 Maja pod Belwederem przebrany za Anglika (czytelna aluzja do Piłsudskiego). Wspominał też modlitwę przy zniszczonej unickiej kapliczce pod Drohiczyńnem, u boku młodziutkiej panny Jadwigi — matki Cezarego: „Modlitwa zrobiła swoje”.

Cezary jednak puszczał te „realno-mistyczne” opowieści mimo uszu — wciąż dzwoniło w nim imię Laury. Coraz bardziej niechętny „polskiemu zespołowi” (drażniło go przywiązanie do przeszłości i naiwna radość z „dzisiaj”), widział w wolnej Polsce „dziury, łaty, wrzody i strupy”, nie chciał tłumaczeń o przyczynach. W tym czasie zbliżył się do niego **Antoni Lulek** — chorowity, oczytany student prawa, fanatyczny komunista, świetny dialektyk, nienawidzący „najreakcyjniejszego skiru ludzkości” — Rzeczypospolitej. Lulek czyhał na śmierć Polski, cieszył się każdą jej klęską, gardził „gajowszczyzną” (powolnymi reformami), wielbił bolszewickie karnie, a szlachtę nazywał „nawłocią”, kobiety ziemiańskie „laurami”, szlagonów „barwickimi” — co dogadzało zgorzknieniu Cezarego. Pchał go ku zemście, żgał obrazami nędzy ludu. Cezary jednak czuł, że Lulek „nie ma tak dobrze”: łatwo mu wyrzec się polskiej granicy, której nie widział (słupów całowanych przez udręczonych ludzi); niepokoił się też, kto obejmie władzę — czy nie żydowskie getto pod pozorem proletariatu.

Lulek wprowadził Cezarego (z teatralną konspiracją, dorożką, do biura „Polex”) na **tajną konferencję komunistyczną**. Mówcy wykładali doktrynę Marksa o walce klas, o burżuazji jako klasie przeżytej, o państwie jako narzędziu ucisku, o międzynarodówce; towarzyszkalekarka mówiła o zwyrodnieniu świata, gruźlicy 85% dzieci, krótkim życiu robotnika, oraz uzasadniała, że w wojnie 1920 obowiązkiem proletariatu było stać po stronie Sowietów. Cezary, przekorny, wystąpił: skoro klasa robotnicza jest „przeżarta nędzą i chorobami”, nie może być „czynnikiem odradzającym”, lecz tylko obiektem cudzej akcji — a tym lekarzem-odrodzicielem może okazać się właśnie odrodzona Polska, która często staje po stronie robotników. To „wbicie kija w mrowisko” wywołało wrzawę. Towarzysz Mirosław (Rusin) odpowiedział litanią

okrucieństw policji polskiej: tortury elektryczne, łamanie żeber, katowanie więźniów politycznych i działaczy narodowości uciskanych, zasieczone na śmierć brzemiennie kobiety. Cezary, dopytując („Czy minister sprawiedliwości o tym wie? Czy biją i tych, co wysadzają prochownie wraz z żydowskimi dzielnicami?”), nie wytrzymał i wyszedł, ścigany świszczącym śmiechem Lulka: „Idź, poskarż się wujciowi Gajowcowi!”.

Rozdarty, Cezary wstąpił do kawiarni i w półśnie utożsamiał się z **policjantem** mierzącym ulicę pięcioma krokami — z owym „katem” od tortur, a zarazem jedyną ostoją porządku, bez której ludzie skoczyliby sobie do gardeł; jego wewnętrzny „dajmonion” (jak u Sokratesa) odwoził go: droga z powrotem na zebranie „prowadziłaby w krwawą próżnię”. Poszedł do Gajowca i wybuchł wielką, gorzką **konfrontacją ideową**: oskarżył „wielkorządców”, że z utęsknienia umierających za Polską (matki, ojca) zrobili „katownię”, że nie dają ziemi bezrolnym, gnębią nie-Polaków, czekają biernie („jakoś to będzie”), nie mają wielkiej idei ani męstwa Lenina, by „zburzyć stare i wszczać nowe”. Gajowiec odpierał: nie ma pieniędzy na wykup (stąd kult „złotego”), Polska otoczona wrogami musi najpierw się obronić, nie oddać Lwowa, Wilna, morza; karze tylko za zdradę na rzecz Moskwy (przykład rozstrzelanego zakładnika Jarkowskiego). Obiecywał: „U nas będzie wyżej (...) damy bratu Rusinowi pokłon, braterstwo i równe prawo, każdej rodzinie rolę domową” — wszystko wypracujemy, lecz trzeba zacząć od przyciesi. Cezary żądał nie tłumaczeń, lecz „zaprzeczeń w czynie”.

W połowie marca Cezary dostał list: „**Laura**. Jestem w Warszawie na krótko (...) będę w Ogrodzie Saskim obok fontanny”. Mimo podejrzeń przyszedł. Laura — piękniejsza niż kiedykolwiek, lecz blada i zapłakana — wyznała, że schudła z tęsknoty za nim i że to on, swoją awanturą ze szpicrutą, zmusił ją do natychmiastowego ślubu z Barwickim: „Mogłam być twoją, a teraz muszę być jego żoną (...) muszę umierać z żalu za tobą”. Cezary, znów ugodzony „cięciem przez oczy”, błagał, by gdzieś poszli; lecz Laura odmówiła: „Już z tobą nigdzie nie pójdę. Nigdy”. Wezwała go tylko, by na niego popatrzeć — „na szczęście moje zabite”. Tym, co ją powstrzymywało, nie był ślub („cóż mi tam Barwicki!”), lecz **dane słowo honoru**. Cezary, znów porwany zazdrością, roześmiał się dziko, uklonił z daleka i odszedł, nie odwracając się mimo jej rozpaczliwego wołania — z „sercem rozjuszonego jastrzębia”.

Nadszedł **pierwszy dzień przedwiośnia** — wiatr południowy zamienił śnieg w błoto, ćwierkały wróble, dzwon wołał „Wiosna, o ziemscy nędzarze!”. Tego dnia od placu Trzech Krzyży ku Belwederowi ruszyła **wielka manifestacja robotnicza** — bezrobotni z lokautu, strajkujący i uświadomieni komuniści (powodem był zatarg w fabryce: robotnicy wyrzucili dyrektora i zajęli zakład, a właściciel ogłosił lokaut, policja zaś otoczyła fabrykę). W pierwszym szeregu, pod rękę z Lulkiem, w żołnierskim lejbiku i czapce, szedł **Cezary**. Gdy tłum zbliżył się do Belwederu, z wartowni wysunął się oddział piechoty i stanął w poprzek ulicy „jak mur niezdobyty”. Wówczas — w słynnym, otwartym, niejednoznacznym finale — **Cezary Baryka**

wyszedł z szeregów robotników i parł oddzielnie, sam, na czele tłumu, wprost na ten szary mur żołnierzy.